

ANDREJ ADAMOWICZ

TŁUSCIOCH
i WESZCZ

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Andrej Adamowicz

Tłuścioch i leszcz

Andrej Adamowicz

Przełożyli Bohdan Zadura i Marek S. Zadura

Tłusćioch i leszcz



WARSZTATY KULTURY

Lublin 2017

*Prosię, prosię,
Zmień się w karasia, proszę
[z anegdoty]*

– I coby nawet nie ciągnął. Coby nie ciągnął. Coby go ani widu, ani słychu. Coby ani widu. Coby ani kręgu na wodzie. Cabaniego kręgu. Coby złamał się haczyk. Coby się złamał. Coby żyłka się oberwała. Coby obrzezała. Coby ani łuski. Cabaniej łuski. Coby ani selfie z nim. Ani selfie. Coby robak zdechł. Coby zdechł. Coby larwy... w muchy. Coby w muchy. Coby ani łuski, coby ani ogona! Cabaniego ogona! Amen!

Maryja i Maksim wstali z kolan. Zanim zaczęli się modlić, mężczyzna pił herbatę. Zrobił ją dla nich dwojga, ale żona, ledwie weszła do kuchni, uklękła i nie poruszyła się, dopóki Maksim do niej nie dołączył. Teraz, pomodliwszy się za połów, usiedli za stołem.

– Jak myślisz, przyjdzie leszcz? – zapytała Maryja.

– Nie – beznamiętnym tonem odpowiedział mąż. – Nie przyjdzie, bo nie ma nóg, i nie weźmie, bo nie ma rąk. I nie trafię go, bo nie mam kuponów.

Żona kilka razy skinęła głową, popatrzyła na męża i uśmiechnęła się.

Prognoza na jutro była lepsza niż na poprzednich osiemdziesiąt osiem dni, kiedy to Maksim wyjeżdżał na ryby. Jeździł na nie co tydzień, nawet w zimie, znajdując miejsca, gdzie nie było lodu. Czasem na jeden dzień, wyprawiając się rano, a czasami zostawał także na noc.

I oto już przez osiemdziesiąt osiem wędkowań nie mógł złapać leszcza. Maksim wstał. Żona położyła dłoń na ramieniu męża.

– Umówiliście się na szóstą. Będziesz na niego czekał.

Maksim usiadł na taborecie przy stole. W pokoju zaniósł się od płaczu Jan. Maryja ostrożnie odstawiła kubek na stole. Złożyła ręce, jakby znów zbierała się do modlitwy, odliczyła do siedmiu, wstała i poszła do małego. Maksim włączył telewizor i podszedł do drzwi pokoju. Postął tam z pół minuty. Żona uspokajała syna, próbując go ukołysać.

Maksim wrócił do kuchni, wyszedł na balkon. Wziął torbę, wyniósł ją do korytarza, znowu wrócił. Okna w pokoju jeszcze nie otwierali, bo o tej porze na dworze było już cieplej niż w domu. Zapalił. Smużka dymu, rozdzielivszy się na dwa niemal jednakowe łańcuszki, przypomniła mu spiralę DNA i mężczyzna pomyślał, że od tego leszczą, po którego jedzie, różni się bardzo nieznacznie – będąc taką samą maszyną chroniącą interes połączonych białek, które nauczyły się powielać same siebie.

Maksim skrzywił się i splunął, próbując trafić w gałąź czereśni, która rosla w odległości trzech metrów. Ślina wylądowała na korze. W tej samej chwili pomyślał także o DNA drzewa. Zdusił długi niedopałek, chwilę postął nieruchomo, poszedł do przedpokoju.

Kiedy byle jak zawiązał buty i się wyprostował, Maryja wyszła z pokoju z Janem. Chłopczyk już całkiem się rozbudził, chociaż powinien pospać jeszcze z godzinę. Maksim odwrócił wzrok od małego.

– Gdzie tata jedzie? Cooo? Jak myślisz, Janie?

Chłopczyk nie odpowiedział, nawet by nie potrafił. Maksim wziął małego na ręce i przytulił do siebie. Przez chwilę czuł, jak bije serce syna i przypomniał sobie zdarzenie z własnego dzieciństwa – ojciec odciął głowę żywemu karpiovi. Z karpia równomiernymi, jakby odmierzanymi przez metronom falami, wyciekała gęsta jak miód, niemal czarna, lepka krew. Maksim oddał małego żonie i otworzył drzwi. Maryja na pożegnanie pomachała mu rączką syna. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i nacisnął przycisk centralnego zamka. Kiedy zamek odskoczył, przetańł oczy przedramieniem.

Maksim przyjechał kwadrans przed szóstą. Szwagier nie odebrał telefonu. Wiktar mieszkał na osiedlu Fabryki Traktorów – w bloku, jednym z tych, które zaprojektowano dla idealnych ludzi pracy, a zasiedlono prawdziwymi. Ci, nie znając słowa „szkutateria”, nawet jej nie

zauważali. Opuścił okno w samochodzie, odsunął fotel i pomyślał, że aby malowniczo naciągnąć na oczy czapkę, najpierw trzeba ją mieć. Zamknął oczy i poleżał kilka chwil, ale sen nie nadchodził.

Wyjął telefon i wszedł w spis kontaktów. Chociaż lista była długa, nie miał do kogo zadzwonić. Przejrzał spis jeszcze raz, ale wynik był taki sam. Dawni kumple, dobrzy znajomi, ledwie znajomi – z wszystkimi niemal w ogóle przestał się kontaktować po tym, jak zaczął łowić ryby. „Żeby szczytówka nawet nie drgnęła. Żeby ci fale nawet uklejki nie pokazały” – przypomniał sobie słowa i schował telefon. Z początku oni po prostu zaczęli mówić o czymś innym, potem starali się jak najszybciej kończyć rozmowę, wreszcie – w ogóle jej nie zaczynać. Potępiali go, jakby znali jakąś prawdziwą drogę ratunku lub wiedzieli, że takiej drogi w zasadzie nie ma.

Obok klatki schodowej Wiktara, gdzie było również wejście do komisariatu, dwóch młodych policjantów pilnowało trzech atrakcyjnych dziewczyn. Jedna albo naprawdę się zataczała, albo sprawiała wrażenie, jakby od czasu do czasu przytulała się do milicjanta, który odpychał ją, ale ani razu nie pchnął naprawdę.

Z komisariatu wyszedł oficer, stanął pod klatką schodową i zapalił. Wkrótce nadjechał samochód i załadowano do niego dziewczyny przy akompaniamencie ich własnego śmiechu. Jedna zdążyła puścić do Maksima oko. Poczuł się jak po długotrwałym pijaństwie – miał chęć wszystko rzucić i zacząć życie od nowa. Ale ani wczoraj, ani w ogóle w tym miesiącu nie pił. Mężczyzna zrozumiał, że rzucić wszystko mają ochotę wyłącznie ci, którzy niczego nie mają. I mimowolnie rozciągnął usta w uśmiechu – zadowolony z tak sformułowanej myśli.

Szwagier stuknął nogą w drzwi jego samochodu.

– Co ty wyprawiasz?

– No co ty, w razie czego podrychtujemy twoją brykę. Dobra, powiedz mi, to naprawdę na cały dzień? Może przesiedzimy ten wieczór gdzieś bliżej?

Maksim czknął i zamyślił się przez chwilę, patrząc we wsteczne lusterko.

– Przecież się umówiliśmy.

– Umówiliśmy, umówiliśmy, tak tylko pytam. Dobra, poczekaj, muszę paść na pięć minut do domu.

Wiktar trzasnął drzwiami od klatki schodowej. Szwagra udawało mu się namówić na ryby rzadko, cały czas wymyślał jakieś nowe niesprzyjające okoliczności. Maksim napisał mu esemesa: „Walnij pięścią! Pokaż, kto tu jest chłopem!”. Wiktar nie odpowiedział, Maksim znów czknął, tym razem głośniej. Lubił to i nie zamierzał nic z tym robić.

Położył ręce na kierownicy i zaczął zaginać palce, poczynając od kciuka lewej ręki, a potem rozginać je w odwrotnej kolejności. Wybrał numer szwagra. Wiktar odebrał, ale się nie odezwał. Maksim zdołał usłyszeć tylko „...swoim samochodem!”, wymówione przez kobietę, i rozłączył się, bo te słowa, choć jego dotyczyły, nie były przeznaczone dla niego. Mężczyzna wysiadł z samochodu i podniósł klapę bagażnika. Otworzył paczuszkę z gąsienicami motyla cytrynka i powąchał. Przypomniało mu się zarówno morze, jak i środek na przeziębienie.

– Raz po tłustej dupie!

Wiktar mocno klepnął Maksima, który znów przegapił moment pojawienia się szwagra.

– Żonę swoją klep, sadysto.

– Nie ma takiego tłustego tyłka jak ty. Na jakąś dietę może być poszedł albo co?

– To dlatego, że siedzę w domu.

– Mnie tam wszystko jedno. Dobra, pokazuj, co wzięłeś.

Maksim w milczeniu pokazał Wiktarowi cytrynka, gąsienice na haczyk, robaki białe i barwione, czerwone dżdżownice, paczuszki z zanętą, atraktory, proteinowe kulki. Już w samochodzie Wiktar zapytał:

– Myślisz, że trzeba było wziąć białą zanętę?

– Zaczniemy od czarnej. Ale trzeba się zabezpieczyć.

– A ja też wzięłem atraktory. Patrz.

Wiktar wyciągnął spod nóg biały pakunek. Maksim odwinął go i zaczął oglądać szklany litrowy słoik z plastikową nakrętką. Powąchał i niemal nie zwymiotował – z pakunku wydobywał się mocny zapach łąjna. Maksim odrzucił pakunek Wiktarowi na kolana i wyskoczył z samochodu.

– Co to, kurwa, jest? Idiota!

– Atraktor na raki. Całą wannę sobie zasmrodziłem, zanim zrobiłem gnój. Trzeba jeszcze po rakownicy zajechać.

Maksim chwilę powstał, opierając się o maskę i starając się nie wymiotować. Wyprostował się, parę razy głęboko odetchnął i znów czknął. Razem owinęli pakunek w jeszcze kilka reklamówek, włożyli do bagażnika i nakryli wiaderkiem.

– A ty, tłuściochu, kiedy sobie jakąś pracę znajdziesz? Nie mogę zrozumieć, po jaki chuj wy, Ormianie, żyjecie? Na leszcza czekasz? I za cholerę też nie rozumiem, jak to jest, pieniędzy nie masz, a takie dupsko wyhodowałeś.

– À propos pieniędzy. Wisisz mi dwieście rublasów za benzynę i za zanętę. Dwa karmniki też mi jeszcze utopiłeś, ale tego już ci nie pamiętam. – Wiktar, przewróciwszy oczami, powoli wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, odliczył dwa papierki i wsunął je do skrytki.

– Jedźmy po rakownicy. To niedaleko, pokażę.

Trafili nie do sklepu, a do zwyczajnego czteropiętrowego bloku. Wiktar wytłumaczył komuś przez telefon, że dogadali się wcześniej na forum i ten ktoś podał mu numer mieszkania.

– Tam raki chociaż są?

– Są – odpowiedział Maksim. – W postach widziałem zdjęcia. Nawet na wędki łapia.

Zrobili przystanek na drugim piętrze i Maksim przypomniał sobie, jak to udawał, że niby to czyta o tym na forum, a płynnie przełączał przeglądarkę na sieć społecznościową. Dopiero kiedy dwa piętra wyżej otworzyły się drzwi, Wiktar zaczął dalszą wspinaczkę i Maksimowi nie zostało nic innego, jak go gonić.

– Co? Wysoko? Ale widzę, że nie jesteście z mętowni.

– Dlaczego? Przecież ten grubas to prawdziwy szalony chorąży¹.

– No fakt. Tylko takie zostały.

Wiktar i Maksim wzięli rakownicy i zaczęli je obracać w rękach, rozkładając i znów składając. Ich oczka okazały się o dwa milimetry

¹ Aluzja do postaci chorążego Kozakowa, zwanego ze względu na swoje zachowania Szalonym chorążym, jednego z bohaterów rosyjskiego filmu Romana Kaczanowa i Iwana Ochłobystina *Rekruci* (2000).

mniejsze, niż zezwalały przepisy, ale Wiktar nie zwracał uwagi na słowa Maksima i je kupił.

– Od dzieciństwa nie jadłem raków. Mam wielką ochotę. Do piwa.

Miasto stało, zabite samochodami pracowników biur, którzy dotąd byli tylko ukrytymi wędkarzami, bo teraz coraz częściej wędkarstwo przypominało wyścig, w którym najważniejsze jest, żeby jako pierwszy zająć najlepsze miejsce.

– Zatrzymaj się przy metrze. Zabierzemy jeszcze jednego feederastę.

– Znowu kogoś zaprosiłeś?

– A jakże by inaczej? Ty przecież prowadzisz.

Tkacza było widać z daleka, zdradzał go futerał na wędki, który mógł też mieścić strzelbę – czerwony w błękitne grochy.

– Zamówiłem sobie w Chinach. I mi przysłali, pieska jego niebieska.

– Na benzynę będziesz się zrzucał? – zapytał Maksim, ale nikt nie odpowiedział.

Przy wyjeździe z miasta zajechali na parking pod supermarketem. Maksim szybko kupił sobie parówki i chleb. Chłopców znalazł przy piwie. Gdyby nie klimatyzacja, nie wytrzymałby procedury wyboru pienistego trunku.

– Weźmy coś z wiśnią, czerwone musi być. Jak raki.

Tkacz zaklął do rytmu i obaj zarechotali, rozglądając się, czy nie usłyszała ich jakaś babka.

– A ty, grubasie, jakie będziesz pił?

– Myślę, że napiję się twoimi nowymi żartami.

– Lej do butelek, tylko daj pianie osiąść!

Tak stracili przynajmniej piętnaście minut. Już na parkingu, po dach nabawiwszy samochód plastikowymi butelkami, przypomnieli sobie, że nikt z nich nie wziął drewna ani baterii do latarki – więc wrócili. Chcieli zmusić Tkacza, żeby zapłacił, skoro nie zrzucał się na benzynę, ale ten się zgodził dopiero wtedy, kiedy Wiktar wyłożył połowę.

O pół do ósmej wyjechali na trasę. Lato było gorące i po dziesięciu minutach słodki zapach płonących torfowisk wypełnił wnętrze samochodu. Jednak niemal od razu stał się mniej wyczuwalny, bo Wiktar i Tkacz otworzyli po butelce.

– No jakby nas tak drogówka zatrzymała. Okna zaporowane, kierowca ma czkawkę.

Wiktar włączył radio. Program *Bez powodu!* „Pozdrowcie bez powodu krewnych i bliskich” – zaczęła zachęcać wiecznie dopingująca prowadząca głosem nadającym się do sekstelefonu, i Maksim wyłączył radio, ale przypomniał sobie, że za niespełna miesiąc kończy trzydzieści lat. Odszedł z poprzedniej pracy przed dwudziestymi ósmymi urodzinami przez konflikt z kolegami. Wciąż jeszcze lubił opowiadać tę historię, tyle że Wiktar i Tkacz już ją słyszeli.

Samochód niedomagał, wyglądało na to, że się zepsuje, ale nic takiego się nie działo. Kierowca, niereagujący na nieustanne docinki, przypomniał sobie swój pierwszy połów na feeder. Jak to do zanęty wwali za dużo wody i zrobili zbyt kleistą, jak wszyscy się upili, i jak Adam przypadkowo, zbierając już wędki, wyciągnął leszcza trochę cięższego niż kilogram. W tamtym wędkowaniu nie było niczego, za co można było je polubić.

– Słuchaj, Maks, a gdzieś bliżej nie można by zajechać?

– No, moglibyśmy połowić w twojej wannie.

– Nie, w jego wannie nie ma raków, a ja na raki jadę.

– A ja na suma – podtrzymał Tkacz, chociaż przed chwilą proponował, by skrócić. – Teraz jestem sumotnikiem.

Maksim wiedział, że nie złapią żadnych raków, ale nic nie mówił. Korek zgęstniał, zrobił się większy. Kierowca zatrzymał samochód, otworzył okno i zapalił. Przypomniał sobie dzisiejszą myśl o DNA, strząsnął popiół i zaczął robić przegląd rzeczy, o których byłoby przyjemnie pomyśleć. Ale przypadkowe skojarzenie mimo wszystko ciągle wracało i wracało mu do głowy.

Samochód to ruszał, to się zatrzymywał, jednak w dziesięć minut przejechali odcinek, na którym wymieniano rury. Dalej rozpedzili się do ponad setki.

– Maksim, kliknąłeś „save”?

Kierowca zdjął rękę z kierownicy i położył je na nią dopiero wtedy, kiedy samochód zaczęło wyraźnie ściągać na prawo. Pasażerowie milczeli. Maksim z dystansem pomyślał, że mógłby nie wracać na właściwy pas, tylko jak w dzieciństwie – patrzeć, co się

wydarzy, choć dobrze wiedział, że nie będzie nic, prócz bólu na pożegnanie.

Dzięki klimatyzacji w samochodzie było chłodno, ale z zachodu zaczęły nadciągać chmury, im dalej – tym cięższe. Oczywiście tak musiało być. Maksim poczuł, jak drażniąc skórę, ścieka mu po czole kropelka potu, starł ją wierzchem dłoni.

– Ciśnienie trochę spadnie i wszystkie ryby moje. Zbadam dno ciężarkiem. To zajmie niedługo. Możliwe, że zdążę nawet dzisiaj. Szczytówkę musi jeszcze być widać. Można nastawić na sam czujnik, to przy badaniu dna nieważne.

– Maks, z kim ty teraz rozmawiasz? – zapytał Wiktar. – Całkiem odjechałeś przez te ryby? Czy to moja siostrzyczka do tego doprowadziła?

Maksim dopiero teraz zrozumiał, że to wszystko powiedział na głos.

– Opowiadam wam, co trzeba robić.

– Mnie to zwisa, ja na splawik karasia będę łowił – stwierdził Tkacz i zarechotał.

– A może i sum ci się trafi – podpuścił go Wiktar.

Maksim pomyślał, że badanie dna nie jest konieczne. Zawsze zapisywał profile i wczoraj przeglądał notes. Najbardziej obiecującymi miejscami były krawędź skarpy na pięćdziesiąt trzy obroty i przejście między twardym piaszczysto-kamienistym a miękkim, błotnistym gruntem znajdujące się na płaskim dnie rynny rzeki koło sześćdziesięciu dwóch obrotów. Maryja radziła mu łowić tam, gdzie kończył się piasek. Coś jednak podpowiadało Maksimowi, że krawędź skarpy jest bardziej obiecująca.

Wracając do domu z nieudanego wędkowania, Maksim zawsze usiłował przekonać sam siebie, że to był jego ostatni wyjazd na ryby, ale Maryja zawsze radziła mu nie popadać w rozpacz i doprowadzić rzecz do końca. „Skoro wzięłeś się za złapanie leszcza – to go złap” – mówiła i zazwyczaj dodawała: „Leszcza złapać – nigdy nie jest za późno!”. Za każdym razem udawało się jej go przekonać, chociaż te jej argumenty przypominały zbiór ludowych porzekadeł.

– Słuchajcie, a wasi rodzice kupowali żywe karpie?

– Oczywiście – odpowiedział Tkacz – kupowali cały czas. Nienawidzę ich, tych karpi.

– Mama też kupowała – powiedział Wiktar. – Pamiętam, pływały w wannie, a ja im mydła tam nakruszyłem. Wydaje mi się, że zdechły. Słabo to pamiętam. Ale dobrze pamiętam, że tyłek mnie bolał. Och, zesz twoja mać! Patrzcie, co się stało!

Po prawej stronie w rowie leżały dwa samochody. Obok obu powoli chodzili ludzie. Pośrodku prawego pasa, wśród odłamków szkła i kolorowego plastiku, stał trójkołowy rower, tak jakby nie wypadł z bagażnika przy zderzeniu, a ktoś go właśnie postawił, żeby można było nań wsiąść i pojechać. „Jasną drogą dzieciństwa” – pomyślał Maksim i przelknął.

– Może się zatrzymamy?

– Tam jest mnóstwo ludzi – odpowiedział Tkaczowi Wiktar. – Nie jesteśmy lekarzami ani ratownikami. Co my tam pomożemy? Tam już żadna pomoc nie jest potrzebna, wszystko na placek sprasowane. Chyba że popa wzywać. Tam też jechał ktoś, kto kliknął „save”...

Maksim szybko skręcił w lewo, bo dojechali do właściwego skrzyżowania.

– Tylko blacha – powiedział Tkacz. – Rower dziecięcy widzieliście?

– Widzieliśmy – odpowiedział Maksim. – Lepsza jest śmierć czy kalectwo?

– Jak kto woli. Ty przez otłuszczenie zostaniesz inwalidą, a na leszcza jeździsz.

Kierowca czknął. Pasażerowie się zaśmiali.

– Ale z was świnię. Pomyślcie, dopiero co patrzyliście na martwe dziecko, a teraz się śmiejecie – poważnie powiedział Maks, ale spojrzawszy na profil Wiktara i czknąwszy, sam też się roześmiał, chociaż nic w tym śmiesznego tak jak poprzednio nie widział.

– Ech, złapać by dzisiaj leszcza... powiedział Maksim po kilku chwilach.

Wiktarowi zdawało się, że Maksimowi łzawią oczy i że zaraz się rozplacze, ale ten ostatnimi czasy naprawdę bardzo przytył i przy wzroście stu siedemdziesięciu centymetrów grubo przekroczył sto dziesięć kilogramów. Pocił się cały czas, pory na skórze zrobiły mu się wielkie i częściowo były zapchane czarnymi węgrymi, ząb za kłem wypadł i został zastąpiony żelazną protezą, włosy, zebrane

w kitkę, przeredziły się. Być może poczerwieniałe oczy były jednym z objawów choroby.

Jechali starą drogą, z której teraz niemal nikt nie korzystał, ale asfalt był dobry. Po jej obu stronach rosły wiązy. Maksim pomyślał, że zjechali na tę drogę, jakby w opowiadanie Czornego, i teraz na szosę wyskoczy głodna krowa, wzbije kurz, a kora drzew zwilgotnieje i będzie oddawać powietrzu lepki zapach. Na poboczu pojawił się zauważony tylko przez kierowcę lis. A było tak jak dotychczas – gorąco i całkiem jasno.

Wjechali do niewielkiej osady, Wiktar nie wiedział jakiej, być może to był skraj Osipowiczów. Dzień się skończył.

– A co będzie, jak nie złowisz leszcza, Maks? – Wiktar pił już drugi litr.

– Złowię następnym razem.

– Już dwa lata go łapiesz. Może lepiej na suma? Jak Tkacz? U suma branie jest raz na rok, nie taki wstyd go nie złowić, jak twojego leszcza. Jak długo już jeździsz?

– Osiemdziesiąty dziewiąty raz.

– Przynajmniej za dziewięćdziesiątym mógłbyś go wyciągnąć. Doleć do setki i się zatrzymaj. Co ty na taki wariant?

– Jutro wyciągnę leszcza tarlaka. A może i większego. Może takiego, że będziesz się mógł z nim napić.

– Nie potrzebuję takiego. Takich leszczy mam kupę. Wyciągnij takiego, żeby można było nim zakąsić.

Wszyscy trzej poważnie potaknęli. Ożył telefon Tkacza. Najpierw mężczyzna mówił cicho słodkim głosem, potem – się tłumaczył.

– Rzuciła słuchawkę – powiedział spokojnie.

– Jemu mówię i tobie też powiem. Pokaż jej, gdzie jest jej miejsce. Jacy z was faceci!? Raz w miesiącu nie możesz na ryby pojechać? Ty, poważny człowiek, który ma dom, samochód, biznes. Czego ona jeszcze chce?

– Tak – powiedział Wiktar. – Nie rozwijajmy tego tematu. Ty mi lepiej powiedz, Maks, jaki tam jest nurt?

– Nurt tam akurat w sam raz dla suma! – i mężczyźni zarechotali.

Samochód jechał przez las. W bagażniku coś wyraźnie stuknęło, kiedy przejeżdżali po wybojach. Maksim trzymał się kierownicy, a pasażerowie – uchwytów nad oknami. Maksim przypomniał sobie